

Piotr Millati

MIŁOSZ ANTYPATYCZNY

1.

Kiedy Miłosz otrzymał w 1980 roku Nagrodę Nobla, miałem trzy-
naście lat. Nie czytałem wówczas poezji, szczerze mówiąc, nie
czytałem nie tylko poezji. Perypetie i napięcia właściwe dla mojego
wieku wypełniały bez reszty moje wzrastające istnienie. Rok później
Miłosz przyjechał do Polski. Pod wieloma względami jego objazd po
kraju przypominał mającą miejsce dwa lata wcześniej pielgrzymkę
papieża – wszędzie ta sama, jedyna w swoim rodzaju, atmosfera en-
tuzjizmu i niemal świętego uniesienia. Tłumy wiernych uczestniczą-
cych w nabożeństwach i tłumy czytelników pragnących wziąć udział
w spotkaniach z poetą. I choć skala uczestnictwa w tych zdarzeniach
była rzecz jasna nieporównywalna, to na pewno pod względem wiel-
kich emocji, które budziły, były sobie one równe. Miłosza dość często
pokazywała telewizja, która w tym krótkim okresie częściowego przy-
zwolenia na wolność słowa mogła pozwolić sobie na rzeczy wcześniej
nie do pomyślenia. To za jej pośrednictwem po raz pierwszy ujrza-
łem jego twarz. Wizerunek poety, który najsilniej wrył się wówczas
w moją pamięć, tkwi w niej po dziś dzień niczym głęboko wbita drza-
zga. Zdarzyło się to na samym początku jednego ze spotkań, na któ-
rym poeta czytał swoje wiersze. Aula, gdzie się to odbywało, pękała
w szwach. Ci, dla których zabrakło miejsca, stali stłoczeni na parape-
tach, z trudem starając się utrzymać równowagę. Miłosz siedział przy
stoliku na podium, pod którym tłoczyły się dziesiątki fotoreporte-
rów. Pomieszczenie rozświetlała nieustanna kanonada fleszy. Miłosz
zaczyna czytać – jego głos jest monotony, jednostajny, pozbawio-
ny aktorskiej kokieterii i efekciarstwa. W pewnym momencie prze-
rywa w pół słowa. Jak dziś widzę jego gniewną, przeoraną bruzdami
twarz, która przypominała swą surowością ożywiony granit. Nie sta-
rając się ukryć, czy choćby złagodzić swej irytacji, krzyczy: „Przecież
prosiłem, żeby mi nie robić zdjęć, jak zacznę czytać!!!” Na reporte-
rów działa to jak pomruk szykującego się do ataku litewskiego niedź-
wiedzia – popłoch, przerażenie i trusiowata potulność. Szczerze mó-
wiąc, wówczas także i ja nieźle się wystraszyłem i smagnięcie tego
lęku czuję do dziś.

Z wizyty Wojtyły zapamiętałem równie niewiele. Była ona wówczas dla mnie wydarzeniem o równie nikłym znaczeniu jak przyjazd Miłosza. Tylko wczesna młodość, z organicznie wpisanym w nią narcyzmem i świętym prawem do ignorancji wszystkiego, co jej nie dotyczy, może sobie pozwolić na ten rodzaj aroganckiej nonszalancji wobec wydarzeń, które rozpałały serca i umysły milionów. Moja pamięć przechowuje właściwie tylko jeden obraz – postać w śnieżnobiałym szacie z rozpostartymi szeroko ramionami, które miłośnicznie obejmują zgromadzoną poniżej „owczarnię”. Twarz starszego już mężczyzny, ale promieniująca łagodnością i delikatnością niczym rumiana pupa niemowlaka. Uśmiech, który skrzy się w oczach, jest uśmiechem bezwarunkowej akceptacji ludzkiego istnienia, ze wszystkimi jego małościami i niedociągnięciami. Ten uśmiech sprawia, że natychmiast chce się być lepszym. No i wreszcie słowa, które chyba *ex post* sam dokleiłem do tego oblicza – „Nie lękajcie się!”.

2.

Sprawa, której chcę tu dotknąć, w zasadzie nie powinna ujrzeć światła dziennego. Należy do osobliwego gatunku, który tak bujnie wegetuje na gruncie prywatnych rozmów, pleni się w najlepsze w wilgotnym i ciepłym mikroklimacie towarzyskiej poufałości, zakwita i owocuje, przybierając najbardziej fantastyczne formy w ciasnych, szczelnie zamkniętych przestrzeniach, do których nie mają wstępu nieproszeni goście. Gdy jednak wyprowadzić ją stamtąd na zewnątrz, wystawić na spojrzenia obcych, uczynić z niej temat do publicznej debaty, w mgnieniu oka blaknie, zwija się, karłowacieje. Dopiero wówczas dostrzegamy jej żenującą trywialność, wstydząc się nawet wspomnieć, jakie emocje wcześniej w nas rozpałała.

Natura pewnych tematów podobna jest do grzyba pleśniaka, którego fascynująca i zarazem odrażająca włochatość ginie w jednej chwili, gdy wystawić go na pastwę świeżego powietrza i słońca, a temat, który zaraz wywołam, właśnie taką naturę posiada.

Bo czy można poważnie się zastanawiać, z jakich powodów tyle znanych mi osób niemal organicznie nie znosi Czesława Miłosza – i to zarówno jego osoby, jak i pisarstwa? A do tego nikt niemal nie jest w stanie podać sensownego powodu tej antypatii. Ludzie przycisnięci do muru moją nieustępliwą dociekliwością często stają się opryskliwi, a w końcu zupełnie puszczają im nerwy: „No nie lubię dziada i tyle, nie dręcz mnie już i zakończmy ten temat!”.

Odkąd tylko zacząłem prowadzić uniwersyteckie zajęcia, z uporem i zimną determinacją toczę batalię o uznanie wielkości tego artysty. Jej strategicznym celem jest wywalczyć w duszach studentów choćby skrawek terytorium, które ogarnąłby płomyk entuzjazmu wobec poezji autora *Trzech zim*. Skutki tych wieloletnich zmagania, przynajmniej te, o których mi wiadomo, przypominają klincz, w jakim znalazły się okopane na swoich pozycjach armie na froncie zachodnim podczas pierwszej wojny światowej. Mimo ponawianych bez końca ataków, próśb, gróźb, forteli, szantażu stosowanego na przemian z dobroduszną perswazją, wiem dobrze, że linia frontu nie drgnęła nawet o włos. Dochodzi z niej ten sam co wówczas, powtarzany w nieskończoność, komunikat: „Na zachodzie bez zmian”.

Taki np. *Traktat poetycki*, będący jednym z najwspanialszych osiągnięć dwudziestowiecznej poezji, nikogo „nie zachwyca”! Co gorsza, wbrew moim intencjom, staje się co roku w mych rękach odrażającym narzędziem tortur, jakim zadaję studentom trwale i bolesne okaleczenia, bezwzględnie wykorzystując swą władzę i stanowisko. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby urazy doznane w wyniku wymuszonego kontaktu z tym arcydziełem (to ostatnie słowo wypowiadam serio, proszę nie dopatrywać się w nim ironii!) wywoływały trwale skutki, utrzymujące się jeszcze przez wiele lat po opuszczeniu Alma Mater. Takie pojęcia jak „manicheizm”, „duch dziejów”, „historyczność”, a także ta piękna fraza: „Bo więcej waży jedna dobra strofa / Niż ciężar wielu pracowitych stron” pewnie długo jeszcze, „nim będą zapomniane”, wywoływać będą niemal fizjologiczny skurcz niechęci i irytacji. Tak samo jak w wypadku dziesiątek tysięcy żołnierzy, którzy wrócili z Wielkiej Wojny z latami niedającą się zaleczyć traumą i nie chcą pamięcią wracać do czegokolwiek, co przywołałoby tamte „czyny i rozmowy”. Zawsze zastanawiało mnie, że żaden inny poeta nie wywołuje wśród studentów takiego odruchu awersji jak właśnie Miłosz. Zajęcia, na których omawialiśmy jego poezję, przypominały przesuwanie w pojedynkę ciężkich mebli. Solidarny bierny opór zastosowany przez słuchaczy wobec przedmiotu ćwiczeń okazywał się najskuteczniejszą formą samoobrony. W najlepszym wypadku uprawiany był, choć bez większego zaangażowania, miłoszowski „ketman” (czyli łudzenie despoty mówieniem tego, co by chciał usłyszeć). Widząc mój zawieszony w próżni entuzjazm dla postaci Miłosza, wychodzono naprzeciw moim oczekiwaniom, choć maskowate, jakby nieobecne twarze zdradzały, że to tylko podyktowana uprzejmością recytacja.

3.

Oczywiście próbowałem przy różnych mniej oficjalnych niż zajęcia sytuacjach pociągnąć ich za język i dowiedzieć się, co naprawdę jest przyczyną tak daleko posuniętej niechęci. Mówili o tym z oporem, wyraźnie zawstydzeni, jakby zdawali sobie sprawę z tego, że ostatecznie tej ich szczerzej, nieudawanej awersji nie da się uzasadnić żadnym „dojrzałym” i „poważnym” argumentem. W pierwszej kolejności padł zarzut mentorstwa Miłosza. Drażniło ich to, że Miłosz w swoich tekstach nie mówi, a „prawi”. Przybiera wobec czytelnika sztuczną pozę profesora, który „wie” i „naucza”, przy czym w mniejszym stopniu chodziło im o konkretne prawdy, które miałyby głosić jako niewzruszone, ile o sam ton poetyckiej wypowiedzi. Według nich język, którym posługuje się Miłosz, miał być przesycony intelektualną arogancją. Dostrzegano w nim obecność źle skrywanej pychy i megalomanii cechujących niewątpliwie samego autora. Mówiono, że poprzez tak wysoko ustawiony diapazon mowy daje im odczuć w przykry sposób swoją wyższość, a to sprawia, że jakiegokolwiek porozumienie staje się niemożliwe: „To zarozumiały pyszałek i dlatego nie jestem w stanie przyjąć tego, co mówi, choćby nie wiem, jak było to inteligentne i odkrywcze!”. Byłem zupełnie bezradny wobec tego rodzaju zarzutów. Z jednej strony łatwo można je było zignorować, uznając, że przemawiają przez nie komplekсы ignoranta, który erudycję Miłosza odbiera jako napuszoną formę salonowego zadęcia, z drugiej jednak strony osoba, która wypowiedziała powyższy sąd, dzięki jakimś ultraczułym rejestratorom bezbłędnie utrafiła w pierwszy z grzechów głównych poety, z którym zmagał się on raz z lepszym raz z gorszym skutkiem całe swe życie. Chodzi tu o wielokrotnie demaskowany przez samego Miłosza „grzech samolubnej pychy”, który miał się ujawniać w rozbuchanej miłości własnej, bezwzględnym egotyzmie, odczuciu swej wyjątkowości oraz pogardzie dla tego, co w ludziach małe i pospolite. Pycha Miłosza, o której ja dowiedziałem się dopiero od niego samego, czytając jego wypowiedzi mówiące o niej wprost, wcześniej pozostawała dla mnie zupełnie niedostrzegalna, podczas gdy dla ludzi o pokolenie młodszych stanowiła z miejsca rzucający się w oczy feler jego pisarstwa. Skaza osobowości, która przesączyła się do języka, okazała się zatem główną deklarowaną przyczyną odrzucenia tej poezji.

Na tym jednak nie koniec. Zauważyłem, że im mniejszy był dystans między mną a rozmówcą, tym śmieiej sięgano po argumenty,



Czesław Miłosz na spotkaniu autorskim, Paryż, lata 70. XX wieku, fot. Witold Urbanowicz

o których właściwie nie powinienem pisać. Zrobię to jednak, gdyż chowanie głowy w piasek literackiej poprawności nie przybliży nas w żaden sposób do prawdy, do której należy zawsze dążyć, choćby była ona głupia i nie do przyjęcia. Aby spełnić ten piękny postulat, musimy dopuścić teraz do głosu ciemną stronę naszego „ja”, która tak fascynowała

Dostojewskiego, Freuda, Schulza czy Gombrowicza. Wsłuchajmy się w to, co ma do powiedzenia na temat Miłosza obecne w każdym z nas krnąbrne, złośliwe, aspołeczne dziecko – ta nielicząca się z nikim i niczym, kierująca się kaprysem, uprzedzeniem, resentymentem niemal animalna częśćka naszego jestestwa. O potędze i władzy nad naszymi duszami tej szarej eminencji przypominają nam w Polsce choćby wybory prezydenckie i parlamentarne, których podyktowane najniższymi emocjami wyborców wyniki jakże często bywały jej spektakularnym triumfem. Siła ta przemówiła głosem mojego bliskiego przyjaciela – osoby (o czym zapewniam!) o światłym umyśle i szerokich horyzontach. Zapytany, czy lubi Miłosza, skrzywił się, spochmurniał, chwilę się zastanowił, po czym udzielił następującej odpowiedzi: „Dużo nie czytałem, ale szczerze mówiąc, nie podoba mi się jego gęba. Nieprzyjemna jakaś..., taka że nawet czytać się nie chce... No i ten skrzeczący rechot, którym wybuchał w zupełnie nieśmiesznych dla mnie sytuacjach, brrr! na samo wspomnienie ciarki przechodzą mi po plecach..., nie, nie czuję i nie rozumiem tego człowieka!”

4.

Nic łatwiejszego niż lekceważąco wzruszyć ramionami, bagatelizując tego rodzaju opinie jako zbyt idiotyczne, by wchodzić z nimi w jakąkolwiek dyskusję. Pogardliwe odwrócenie się plecami nie sprawi jednak, że one znikną i przestaną oddziaływać na rzeczywistość. Miłosz nie przestanie być w ten sposób naszym najwybitniejszym i jednocześnie najmniej przez nas lubianym poetą XX wieku.

W tym miejscu właściwie mógłbym zakończyć mój tekst, uznając, że wyczerpałem już poruszoną na samym początku kwestię. Nie-

mała część potencjalnych czytelników (ta nieprzypadająca za Miłozsem) zadowoliliby się taką odpowiedzią, szczególnie że wychodzi ona naprzeciw ich własnym uprzedzeniom. Dla przyzwoitości należałoby jednak wysłuchać teraz także głosu zdrowego rozsądku. W tej sprawie ma on niemało do powiedzenia, wreszcie posługując się argumentami na tak zwanym „poziomie”, z którymi da się uczciwie polemizować. Nie musi to jednak oznaczać, że racja zawsze leży po stronie sądów przemyślanych, obiektywnych i wyważonych. Gdyby tak było, życie byłoby łatwe i niesprawiające nam większych niespodzianek. Jeśli więc miałbym sobie teraz odpowiedzieć na to samo pytanie, tym razem w duchu racjonalizmu, zrobiłbym to w następujący sposób:

Po pierwsze – za niechęć do pisarstwa i osoby Miłozsa odpowiedzialny jest pewien aspekt o charakterze czysto formalnym, a może lepiej byłoby powiedzieć: technicznym. Jest nim „kosmiczna” skala jego dzieła. Współczesny odbiorca kultury przyzwyczajony jest do form zwięzłych, krótkich, dających się ogarnąć bez nadmiernego wysiłku. Gdy stajemy po raz pierwszy naprzeciw kilkudziesięciotomowej spuścizny artysty, możemy poczuć się jak pływak, od którego zażądano, aby przepłynął o własnych siłach Pacyfik. Zadanie beznadziejne i od razu wywołujące paraliż dobrej woli.

Do tego najwybitniejsze osiągnięcia poetyckie Miłozsa to utwory liczące sobie po kilkanaście lub kilkadziesiąt stron wierszem. Takim jest *Traktat moralny*, *Traktat poetycki* czy poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. Aby przebyć o własnych siłach tak spore odległości w obcym, wręcz nieprzyjaznym naszym przyzwyczajeniom czytelniczym środowisku, trzeba wiary w nagrodę, która nas czeka na końcu tej podróży, wiary może podobnej do tej, z jaką Mojżesz przemierzał pustynię Synaj.

Po drugie – wypadły na ślepo i na własną rękę w tę twórczość dają zazwyczaj dość mizerny efekt. Pisarstwo Miłozsa czytane wrywkowo i w sposób przypadkowy bywa niemal zupełnie niezrozumiałe. Jego książki, dopiero czytane metodycznie, oświetlają się wzajemnie. Tak naprawdę stanowią rozpisaną na poszczególne części integralną całość. Niezbędnym kluczem do poezji jest eseistyka, ta z kolei wymaga przynajmniej minimalnego nadążania za Miłozsem w tym, co dla niego oczywiste, jeśli chodzi o znajomość filozofii oraz historii epoki, w której przyszło mu żyć.

Po trzecie – aby prawdziwie docenić wielkość Miłozsa, potrzeba czasu i cierpliwości – czyli tego, o co obecnie najtrudniej. Miłozsa trzeba sumiennie studiować. Niezbędna do tego jest lektura książ-

żek krytycznoliterackich jemu poświęconych. Aby przebyć labirynt na przykład *Trzech zim*, potrzebny jest nam doświadczony i rozumny przewodnik. Fragmentaryczna edukacja, którą odebraliśmy w obecnych szkołach, i skarłowaciała kultura umysłowa, w jakiej na co dzień żyjemy, zazwyczaj czynią nas wobec dzieła Miłosza bezsilnymi. Nie ma rady – musimy dorosnąć do świata, który stworzył on swym umysłem i wyobraźnią – na to jednak nie każdy ma ochotę.

Po czwarte – zarówno biografię Miłosza, jak i jego dzieło można uznać za swoistą personifikację XX wieku – skupiają one w sobie cały charakter oraz najważniejszą problematykę tego stulecia, jego duchowe dylematy, ideologiczne konflikty i namiętności. Miłosz jako artysta i myśliciel został więc ukształtowany przez określony czas oraz określoną formację duchową, która obecnie jest w stanie zaniku. Z tego powodu może wydać się on nam gościem z zupełnie innej czasoprzestrzeni, posługującym się słowami i pojęciami, które wyszły już z użycia.

Po piąte więc – problemy, które z taką przenikliwością opisywał, były bez wątpienia kluczowe dla dwudziestowiecznego człowieka. W międzyczasie jednak utraciły swą wagę. Przestały po prostu być dla nas tak dotkliwe, jak były dla Miłosza. Jakoś nauczyliśmy się żyć na ziemi Ulro – jak za Blakiem nazywał ludzkie istnienie pozbawione metafizycznej perspektywy – i fakt ten nie jest źródłem jakichś szczególnych cierpień. Tytaniczne psychomachie Nietzschego z Bogiem wywołałyby dziś uśmiech politowania na dotkniętych opryszczką ustach przeciętnego gimnazjalisty, który przystępując do sakramentu bierzmowania, w nic już nie wierzy, traktując cały obrzęd jak pusty rytuał – bezsensowną daninę, jaką musi złożyć, aby nie czepiała się matka.

Po szóste – niewielkie też wrażenie na współczesnym człowieku robi dramatyczny spór Miłosza z marksizmem. W latach pięćdziesiątych podjął on imponujący wysiłek, aby intelektualnie przewyciężyć marksistowską koncepcję historii, według której ludzkie dzieje są polem działania niezależnych od człowieka praw, których bieg musi, czy się to komuś podoba czy nie, doprowadzić ludzkość do komunizmu. Wszyscy byliśmy jednak świadkami ekonomicznej katastrofy państw Bloku Wschodniego oraz upadku sowieckiego imperium. Dziś nikt o zdrowych zmysłach nie traktuje tych złudzeń Marksa poważnie.

Po siódme – równie nikły rezonans wywołuje spędzające Miłoszowi sen z powiek pytanie – *unde malum?* – skąd zło? Żyjemy w na tyle bezpiecznych czasach, że zło stało się czymś niemal abstrakcyjnym. O jego obecności przypomina nam dopiero telewizja. Doświadczamy go jako jednostki, a nie jako zbiorowość, co miało powszechnie miejsce choćby w Europie Środkowej w XX wieku, a to w decydujący

sposób wpływa na nasze odczucie wagi tego problemu. Nikt też nie wysuwa manichejskich pretensji do bytu o to, że nie jest doskonały, to znaczy, że w nasze istnienie wpisany jest rak, AIDS, choroba Parkinsona czy stwardnienie rozsiane. Dzięki rozwojowi nauki ludzkość nie jest już tak pesymistyczna i wierzy, że dla medycyny uporanie się z tymi chorobami jest tylko kwestią czasu. Cierpliwie i z ufnością czekamy, kiedy to wreszcie nastąpi.

Po ósme – był przekonany, że człowiek nigdy nie pogodzi się z faktem własnej śmiertelności, więc zawsze będzie szukał dla siebie jakiegoś remedium, które da mu nadzieję na uchronienie się przed ostatecznym wymazaniem z Księgi Istnienia. Lekarstwa, które nam podsuwał, to poezja i pamięć. Miały

one ratować nas przed rozpaczą, jaką budzi w człowieku perspektywa wessania przez lej nicości. Jego miłość i autentyczne współczucie obejmujące całość istnienia kazały mu sympatyzować z odrzuconą przez katolicyzm ideą *apokatastasis*. To greckie słowo oznacza wiarę w zmartwychwstanie wszystkiego, co kiedykolwiek istniało, tyle że w doskonalszej, bo nieśmiertelnej postaci. Poezja i pamięć miały według Miłosza na swój sposób urzeczywistnić tę ideę – ich moc ocalania od zapomnienia była być może jedyną nam dostępną formą nieśmiertelności. Jednak główną bolączką współczesnego człowieka nie jest fakt nieuchronnej śmierci – przeciw któremu mało kto się naprawdę buntuje – ale biologiczne starzenie się. Bardziej niż pustka, w której na zawsze znikniemy, przeraża nas społeczna i biologiczna degradacja, konsekwencja starości niebędącej już dla nas pełnowartościowym życiem.

Po dziewiąte – walczył z chimerami ludzkiego umysłu, do jakich zaliczał między innymi totalitarne ideologie, w imię których w XX wieku unicestwione zostały dziesiątki milionów istnień. Pod-



Czesław Miłosz na spotkaniu autorskim, Paryż, lata siedemdziesiąte XX wieku, fot. Witold Urbanowicz

suwaną przez niego odtrutką na pokusę urzeczywistniania urojeń intelektu miała być apologia realności istnienia świata. Uważał, że prawdziwego szczęścia możemy doświadczyć tylko wówczas, gdy jak najgłębiej zapuścimy w świat, w którym żyjemy, korzenie wszystkich naszych zmysłów. Nic tak nie umacnia naszego człowieczeństwa jak bezpośredni kontakt z realnym bytem. Ludzkość tymczasem poszła w zupełnie przeciwnym kierunku. Stworzenie za pomocą nowoczesnych technik świata wirtualnego, który oprócz tego mankamentu, że nie istnieje, jest pod wieloma względami lepszy od świata prawdziwego, można porównać do odkrycia przez Krzysztofa Kolumba Ameryki. Jesteśmy obecnie świadkami być może największej w dziejach ludzkości migracji na ten nowo odkryty kontynent, gdzie znajdzie się miejsce dla każdego i nie ma takiego marzenia, które nie miałoby się spełnić.

I po dziesiąte wreszcie – drażni nas Miłosz czymś, co bym nazwał jego duchową oraz intelektualną pańskością. Stykając się z nim poprzez jego teksty, archiwalne zapisy albo bezpośrednio, gdy żył jeszcze, nie mieliśmy wątpliwości, że obcujemy z jednostką, która bezdyskusyjnie nas przewyższa. Swój arystokratyzm Miłosz musiał traktować jako stan naturalny, choć nadmiernie go nie eksponował. Jego wielkość wykrystalizowała się wszakże pod ciśnieniem kultury, w której przekonanie o istnieniu intelektualnej hierarchii między ludźmi było czymś oczywistym. Demokracja współczesnej doby prawdy tej nie chce przyjąć do wiadomości i jest mu ona szczególnie wstrętna. Moja złośliwa wyobraźnia podszeptuje mi spóźniony już niestety pomysł na ekstremalnie trudne zadanie, któremu mogliby być poddawani uczestnicy różnej maści *reality show* – byłaby nim godzina w pustym pomieszczeniu sam na sam z Miłoszem. Spodziewam się, że niewiele osób dotrwałoby do końca tej zapewne milczącej konfrontacji. W ciągu kilku zaledwie minut zapewniająca do tej pory świetne samopoczucie głupota, ignorancja i pospolitość stawałyby się tak nieznośnym ciężarem, że nieszczęśnik gotów byłby wyskoczyć przez otwarte okno, aby tylko się wyrwać z tego potrzasku.

5.

Zawsze głęboko poruszał mnie humanizm Miłosza, który nie mając złudzeń co ludzkiej natury, nie wątpiąc też w okrucieństwo i absurdalność fundamentalnych zasad, na jakich świat, zarówno zwierzęcy, jak i ludzki, został zbudowany, wierzył, że zadaniem sztuki jest

budowanie mitów i symboli, które zaprzeczają temu, co podpowiada nam bezlitosny w swym obiektywizmie intelekt. Sztuka ma ocalić człowieczeństwo przed postępującym zwątpieniem w naszą ontologiczną wyjątkowość. Ma się stać antidotum na odkrycia nauki, które odzierają człowieka z pięknych iluzji dotyczących naszej wzniosłej odrębności wobec świata przyrody. Nie powinna więc wspierać nauki w prowadzonej przez nią demaskatorskiej krucjacie przeciw człowieczeństwu. Stąd spór Miłosza z Philipem Larkinem czy Tadeuszem Różewiczem, którym zarzucał, że pomnażają rozpacz i zamęt, zamiast dawać pocieszenie. W jednym ze swych wierszy pisał: Człowiek „Jest stróżem brata swego / i nie wolno mu brata swego zasmucać”. Poezję postrzegał jako ofiarowany nam wspaniały płaszcz, którym będziemy mogli zasłonić całą swą nędzę i małość.

W zasadzie z podobnym przesłaniem zwracał się do ludzkości Wojtyła, starając się wydobyć z chrześcijaństwa to przede wszystkim, co przynosi nadzieję i daje radość, dzięki którym życie na Ziemi staje się znośne. Jego Bóg jest Bogiem miłosierdzia, a nie Bogiem sprawiedliwości. Chrystus pragnie obdarzyć nas swą miłością, a nie karać. Wszyscy zostaliśmy objęci jej życiodajną siłą i wystarczy tylko się na nią otworzyć, aby rozpoczęła swoje cudowne działanie. Podobnie więc jak Miłosz, chciał zasłonić przed naszym wzrokiem najbardziej niepokojące aspekty ludzkiej kondycji – te, które z taką bezwzględnością ujawnia nam choćby Księga Hioba.

Jednak okrycie uszyte dla nas przez Miłosza nie bardzo przypadło nam do gustu. Może dlatego, że swym ciężarem i przepychem przypomina liturgiczny strój prawosławnego patriarchy. Nie bardzo się da w takim stroju pojechać z rodziną na grilla czy obejrzeć z kolegami meczyk. O wiele wygodniejszy jest pod tym względem wielki plaster z kojącym środkiem znieczulającym, jaki zostawił nam Jan Paweł II.

6.

Zastanawiająca jest łatwość, z jaką upowszechniała się „czarna legenda” Miłosza. Najbardziej niedorzeczne wymysły, perfidne półprawdy, podług sugestie natychmiast uzyskiwały zwielokrotniony rezonans, tak jakby właśnie takiej prawdy pragnęli o nim ludzie. Powtarzano więc z mściwą satysfakcją, że był komunistycznym pacholkiem, anty-Polakiem, nienawidzi polskości i katolicyzmu i wykorzysta każdą okazję, aby oczernić nas w oczach Zachodu, pogardliwie pisał o Matce Boskiej, że w czasie wojny tchórzliwie posługiwał się litewskim paszpor-

tem, wypierając się w ten sposób swej polskości (to półprawda, która przez to jest szczególnie nikczemnym kłamstwem), że żałował, iż Stalin nie uczynił z Polski siedemnastej republiki (Niech Bóg wybaczy Herbertowi to urojenie, które miało miejsce 20 lat po rozmowie, kiedy to miały paść te słowa. Przez te dwadzieścia lat przyjaźń między poetami kwitła. Kto nie wierzy, niech sięgnie po korespondencję Miłosza z Herbertem. Mam nadzieję, że milczący dotąd świadek ówczesnego spotkania dwójki poetów napisze wreszcie tekst, którym raz na zawsze zasznurowe usta ludzkiej nienawiści)... Można by tak cytować niemal bez końca. Litanie oszczerstw i kalumnii odnoszących się do Miłosza jest być może najdłuższą, jaką kiedykolwiek ułożono na polskiego pisarza.

Tę brudną pianę bije się bez żadnych zahamowań szczególnie na internetowych forach, które stały się czymś w rodzaju rejestratora najbardziej ponurych, nikczemnych i wstydliwych wymiarów psychiki każdej społeczności. Stopień zajadłej awersji, z jaką się odnosi tutaj do Miłosza, jest bez precedensu. Pozwolę sobie przywołać zaledwie próbkę tych „głosów biednych ludzi”, gdzie ignorancja i zła wiara tak naturalnie łączą się z usterkami ortografii: „Czesław Miłosz to polityczna prostytutka, opiewał komunizm i marzył o włączeniu Polski do CCCP, o czym nie jednokrotnie [sic!] wspominał”, „W latach 80 powiał wiatr w inną stronę i zaczął coś pleść o ideałach wolności i już nie tłumaczył Mao!”, „Komitet Noblowski musiał w jakiś sposób zareagować na wydażenia [sic!] w Polsce w latach 80, szkoda że przyznał dla Miłosza Nobla”, „Miłosza jakoś nie lubie [sic!], wolę Herberta”, „Polecam przestudiowanie życiorysu i jego twórczości zanim, coś wspominać [sic!] o tak podłym człowieku!!!”, „Dla mnie poeta wybitny, człowiek marny”, „Teraz na marginesie muszę wyjaśnić dlaczego nie lubię Miłosza. Niechęć do niego wpoili mi rodzice (właśnie »wpoili« i właśnie rodzice). Ojciec zawsze twierdził, że Czesław Miłosz otrzymał Nagrodę Nobla tylko ze względu na czasy (rok 1980), a poza tym, co niestety jest prawdą, Miłosz jest zarozumiały (ja osobiście przekonałam się o tym, gdy usłyszałam wypowiedź Pana Miłosza o Wisławie Szymborskiej – komentarz poety do Nagrody Nobla, którą otrzymała Szymborska”, „Pod koniec życia mieszkając w Krakowie w mieszkaniu UJ deklarował się Litwinem, ale darmowego mieszkania na Gołębiej nie zamierzał zamieniać na Wilno. [...] drania nie lubię”.

Myślę, że tyle wystarczy...

7.

Ani Miłosz, ani Wojtyła, mimo konsekwentnie i wytrwale podejmowanych wysiłków, nie byli w stanie narzucić swemu narodowi kształtu przesłania, będącego rzeczywistym sednem nauki każdego z nich. Szeregowy Polak-katolik, gdyby go zapytać o nauczanie papieskie, niemal nic nie miałby na ten temat do powiedzenia. Encykliki Jana Pawła II w ostatecznym rozrachunku pozostają tak samo nieznanne i hermetyczne jak najbardziej zawile wiersze Miłosza. Nie czyta się ich tak samo, jak nie czyta się Pisma Świętego, uspokajając swe sumienie przekonaniem, że jedno i drugie to literatura fachowa przeznaczona dla profesjonalistów wiary, czyli księży. Przeciętny wierny nie spodziewa się tam znaleźć niczego, co go bezpośrednio dotyczy. Oczywiście bezwarunkowo czeni Pismo jako boskość wcieloną w słowa, jednak tym czołobitnym szacunkiem tak naprawdę chce się wykupić od wysiłku brnięcia przez kolczaste jak krzewy jeżyn zasieki biblijnych wersów.

Co do słów Wojtyły, to w najlepszym wypadku pamięć szeregowych wiernych będzie w stanie odtworzyć z mniejszą lub większą dokładnością pojedyncze zdania, które stały się hasłami przewodnimi poszczególnych pielgrzymek (jak choćby nieśmiertelna fraza „Nie lekajcie się!” albo jego koncept, że każdy z nas ma swoje Westerplatte, przy czym zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku nie bardzo już wiadomo, do czego te słowa właściwie się odnoszą).

To wyjątkowy paradoks, że najlepiej zapamiętaną wypowiedzią Jana Pawła II wydaje się ta, której on sam nie przypisywał żadnego znaczenia. Wymknęła mu się spontanicznie, w chwili szczególnego wzruszenia, które w okamgnieniu udzieliło się słuchającym go masom. Jest w tym fakcie obecna jakaś szczególnie przykra ironia, coś, co powinno uczyć nas prawdziwej pokory wobec podejmowanych starań i zamierzeń.

Zdanie, które wryło się w serca i umysły wiernych, uzyskując trwałość większą od spizu, padło z jego ust 16 czerwca 1999 roku. Miało to miejsce podczas spotkania z mieszkańcami rodzinnych Wadowic. W pewnym momencie Wojtyła zaczął wspominać swoją młodość oraz ciastka, które wówczas namiętnie jadał:

„– A tam była cukiernia. Po maturze chodziliśmy na kremówki”.

Tłum w ułamku sekundy eksplodował wybuchem niepohamowanej euforii. Skandowano: „Kochamy ciebie! kochamy ciebie! ko-

chamy ciebie!...” Chyba nigdy przedtem ani potem to powtarzające się często podczas wizyt Wojtyły wyznanie miłości nie było równie szczere i powszechne. Dokładnie wtedy Wojtyła pozwolił się kochać w taki sposób, jaki ludzie tego zawsze pragnęli – znów stał się Lolkim z łobuzerskim wdziękiem przyznającym się wszem i wobec do swej niegdysiejszej słabości. Ale tenże sam Lolek z Wadowic był Ojcem Kościoła katolickiego, w którego osobie polskość otrzymała od świata najwyższy z możliwych certyfikatów jakości (drugim w kolejności jest Nagroda Nobla). Teraz słuchając go i patrząc na niego jak w obraz, jakby widzieli siebie samych, tyle że odmienionych – o idealnych kształtach i barwach, niczym emanujące złotym blaskiem postaci z bizantyjskich ikon.

Wadowiccy cukiernicy równie uważnie słuchali papieża. Produkcja kremówek, zwanych od tej chwili papieskimi, ruszyła pełną parą i stały się one największą atrakcją kulinarną miasta. Lud zachęcony bezpośrednio Jana Pawła II posunął się o krok dalej we wzajemnej fraternizacji, przypisując specjalne znaczenie uśmiechowi, który rozświetlił twarz Wojtyły, gdy napomknął on o wadowickich kremówkach. Jego prawdziwy sens został odczytany w sposób, który tylko poza granicami Polski można by uznać za absurd i niedorzeczność. Otóż uznano, że błogie rozanielenie, którego świadkami byli wszyscy zgromadzeni, wywołać w nim mogła jedynie niedająca się ukryć przyjemność wspomnień o alkoholu zawartym w kremie tych ciastek. (Syn właściciela przedwojennej cukierni kategorycznie zaprzeczał tym insynuacjom, zapewniając, że wówczas do ich produkcji alkoholu nigdy nie użyto. Jego wyjaśnienia nie miały jednak odegrać większej roli.) Po mieście krążyły legendy o pojedynku, w którym miał wziąć udział przyszły Ojciec Święty. Opowiadano, że założył się on z kolegami, kto zje więcej kremówek. Mimo że pochłoniął szesnaście (według innej wersji osiemnaście), zwycięzcą okazał się niestety kto inny. Wniosek z tego nasuwał się sam – „papież to jednak swój chłop i wypić też lubi”.

Właściciele cukierni uznali uśmiech Wojtyły za milczące błogosławieństwo. Jak przeczytałem w jednym z artykułów opisujących karierę „papieskich” kremówek, ośmieliło ich ono, by wzmocnić recepturę robiących zawrotną karierę ciastek o niemalą dawkę czystego spirytusu. Zmotoryzowani, którzy przejeżdżają przez Wadowice, powinni mieć to na uwadze.

Wadowickie kremówki stały się niczym hostia – w tajemnej harmonii łączyło się w nich to, co boskie (poprzez osobę papieża), z jakże ludzką słabością do słodczy i używek. Po niedzielnej mszy spożywa-

ły je w zgodzie i ukontentowaniu całej rodziny – dzięki wspomnianej innowacji ich amatorami stały się także ich głowy, dotąd niekoniecznie przepadające za mdłym smakiem kremu. Dziś nie do pomyslenia byłoby odwiedzić Wadowice, nie zajrzawszy do jednego z licznych świetnie tu prosperujących zakładów cukierniczych. I jeśli w przyszłości tak się stanie, że pamięć słów Jana Pawła II zupełnie się zatrze, to pozostaną „papieskie kremówki”, których smak, podobnie jak smak proustowskiej magdalenki, uruchomi w wyobraźni ich amatora rwący strumień wzniosłych asocjacji.

8.

Miłosz miał dużo mniej szczęścia. Mimowolnie wciągnięty przez Herberta w fatalny spór między postdeckim konserwatyzmem a kosmopolitycznym liberalizmem, który obecnie równie boleśnie co niedorzecznie rozdziera nasze społeczeństwo, stał się w oczach narodu autorem przede wszystkim jednej sentencji, nieważne, że nigdy niewypowiedzianej przez niego w takiej postaci – o tym, że Stalin lepiej by zrobił, gdyby Polskę uczynił siedemnastą republiką. Gdzieś w tle tych najlepiej usłyszanych słów Miłosza pobrzmiwa jeszcze jego rzekoma wypowiedź o „bandytach z AK”, a z zupełnej oddali dochożą czasem do naszych uszu dwa pierwsze wersy jego wiersza *Który skrzywdziłeś*, jaki znalazł się na pomniku gdańskich stoczniowców poległych w grudniu 1970 roku – tekstu wyjątkowo dla niego nietypowego, który, jak się poeta tego obawiał, będzie dawać zupełnie mylne wyobrażenie o charakterze jego poezji. Dodać można jeszcze do tej listy wiersze poety, które chyba na nieszczęście stały się lekturami szkolnymi, a więc nieśmiertelne *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość* – wyrwane z kontekstu poematu *Świat*, stają się łupem najbardziej niedorzecznych interpretacji, a problematyka *Campo di Fiori* jest chyba zbyt historycznie złożona i drastyczna, aby serwować ją „dzieciom”. Siłą rzeczy rozmowa o tym tekście sprowadza się więc najczęściej do wyrażenia łzawego współczucia dla ginącego na oczach bezdusznego tłumu geniusza. Z *Piosenką o końcu świata* jest chyba jeszcze gorzej. Tu już nikt nie wie, o co z tym permanentnym końcem świata tak naprawdę chodzi. No cóż, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi...